

Jak Bernadek spotkał się z utopkiem

Gdzie Brynica ma swoje źródło? Gdzieś w turawskich lasach. We wsi pojawia się, z lasu wypływając. Płynie przez łąki i pod mostem się przemyka, aby pod las trafić i zakręcić w pobliżu domu Burków. A tu znów mostek na rzece. Ważny był ten mostek zawsze. Dalej płynie pod samym lasem, aż do sąsiadów zagłąda. Tam już nie mostek, jedynie półmostek, na którym się siadało, na którym sąsiadka kłękała i latem pranie prała, albo tylko płukała w miękkiej rzecznej wodzie.

Z tego półmostka już bliźutko do torów, a tam nad rzeką żelazny most kolejowy, który dudnił, kiedy się pod nim w wodzie stawalo, gdy właśnie przejeżdżał pociąg.

Dalej płynie sobie Brynica przez łąki do sąsiedniej wsi. Ale tam się już dzieci nie zapuszczały, chyba że po gęsi, które rzeką sobie beztrąsko płynęły z prądem, ale wrócić to już nie chciały, bo rozumu im brak i pod prąd płynąć niewygodnie. Nieraz gęsi tak uciekły, pilnowane przez dzieci, a w czasie zabawy niepilnowane były.

Dawno temu, w czasach młodości mamy, kiedy jeszcze żyli dziadkowie i młodzi byli, Brynica płynęła bardzo blisko domu i nieraz zalewała pole i ogródek. Niosła jeszcze gorsze nieszczęścia. Zaraz za polem było uwrocie. To mała łączka tak nazywana, bo tam można było końmi zawracać. I to właśnie uwrocie wychodziło na rzekę, która w tym miejscu brała gwałtowny zakręt i tam, kiedy wzbierała, tworzyła sobie głębinę. Oma dzieci ostrzegała: nie pod-

chodźcie blisko tej głębiny, bo tam utopek siedzi. Wciągnie was do wody i już nigdy was nie uwolni.

Mama opowiadała, że wszystkie dzieci, póki dziećmi były, wierzyły w tego utopka. Ale Bernadek, młodszy brat mamy, zawsze był ciekawy świata i koniecznie chciał go zobaczyć. Siadał czasem na brzegu rzeki przy tej głębini i czekał na utopka, a obok niego pies Fiks.

– No i co, Bernadku, znów utopek nie przyszedł – śmiał się z niego starszy brat Franz, który już był duży i w utopka dawno nie wierzył.

Ale przyszedł utopek jednego dnia po Bernadka i wciągnął go w swoją głębinę. Tak mama to smutne zdarzenie opowiadała o swoim najmłodszym braciszku Bernadku, którego rzeka zabrała, gdy był dopiero pięcioletnim dzieckiem. Zaraz po Bernadku zaginął pies Fiks.

Niedługo po tej tragedii zaczęto Brynicę regulować. Cała wieś kopała. Pod lasem przygotowano jej nowiuteńkie koryto. Płynęła sobie potem nowym korytem, ale coś tam zawsze dawnym zapamiętanym biegiem jej się wypsnęło i dalej próbowała płynąć po staremu, i w miejscu tej nieszczęsnej głębiny zostawiała część wody, tworząc na łące rozlewisko. Stare koryto zasypywano ziemią z nowego, ale długo jeszcze Brynica była uparta i chciała płynąć po swojemu. Tam, gdzie się Bernadek utopił, posadził opa dąb. Stał ten dąb olbrzymi i pilnował Brynicy, aby dalej od domu swoją nową drogą płynęła.

O domu Burków i o tym, jak Wijo suszył siano

Olbrzymi dąb pilnował także domu Burków. Od pioruna chronił, bo gdzieżby tam kiedyś ktoś piorunochron na budynku instalował. Stał dom od lat i dąb go chronił.

Niektórzy mówili, że Burki mieszkają na końcu wsi.

– Właśnie na początku wsi mieszkamy, bo mamy najbliżej do Opola, nie to co wy! I najbliżej mamy do rzeki. . . – broniła swego miejsca Lenka.

Od Burków do lasu blisko. Tyle co przez łączkę do rzeki, dalej przez mostek, i już się było na drożysku. A drożysko to leśna droga. Tak ją nazywano, żeby od innych dróg odróżnić. Do drożyska się dzieci zapuszczały, a dalej? Dalej to już się nawet Lenka bała chodzić, chyba że z Leonkiem, albo ze starszą siostrą, z mamą lub z papą.

Dom Burków był bardzo zwyczajny: sień, kuchnia, dwie izby, komora. W drugiej połowie – chlew i stodoła z sąsiekim. Za to ten dom był pełen ludzi, pełen dzieci, bo aż siedmioro, do tego mama i papa, a i ciotka Francka często bywała, bo jadła ze wszystkimi, ale też i pomagała.

W drugiej połowie dom był pełen zwierząt: krowy, świnię, czasem owca lub koza, jałówka lub byczek na sprzedaż, i kury w kurniku nad świńskim chlewikiem. Kaczki i gęsi miały swoje chlewiki w szopce naprzeciw, a króliki królowały w swoim ekstrapałacu – klatce. Naprzeciw domu stały trzy szopy: jedna na drzewo, druga na różną drobną gadzinę, jak mawiała mama, trzecia – to była papowa szopa. Wśród tych szop i szopek stał jeszcze mały domeczek

– podwórzowy wychodek, hażlem tu zwany. Między tymi szopami a domem było podwórze. Po obu stronach wrota i furtki: jedną wychodziło się na drogę, drugą w stronę lasu na ścieżkę.

Był jeszcze ogród z krzaczkami porzeczek, agrestu, była grusza, śliwa i grządki z warzywami i kwiatami. Dwie jabłonie i ze cztery lubaszki na uwrociu dawały cień na odpoczynek popołudniowy i do nich wiązało się sznury na pranie. A jak dobry, urodzajny był rok, to i owoców trochę dawały.

Do sąsiadów mieli Burki kawałek. Nie patrzyli sąsiedzi na swoje podwórka przez wspólny płot. Nie podglądali, nie wiedzieli, co tam nowego się wydarzyło. Miedzami ze sobą graniczyli. Miedza była też miejscem na krótkie plotkarstwo sąsiedzkie, na kłótnie sąsiedzkie, na sekrety i użalania.

Mieli więc Burkowie swoje miejsce w swojej wsi. Daleko od wsi, ale blisko lasu, blisko rzeki.

Długie lata zarastały szuwary stare koryto Brynicy. Tam wywożono perz z pola wygrabiony, zielsko i chwasty w kartoflach wypielone, wszędobylskie francuskie ziele z ogródka i z pola wyrwane. Długo, bardzo długo równano doły po starym korycie, a ciągle pozostawał ślad. Teren był grząski i mokry.

Rolnicy z Kolanowi te łąki nadrzeczne uprawiali. Ciężka była uprawa tych łąk. A miejsca po starym korycie rzeki długo były omijane przez kosiarzy, a potem przez kosiarkę. Konie zapadały się w tych miejscach po brzuch. Musiał wtedy gospodarz z sąsiedniej łąki swoimi końmi wyciągać je z błotnistej mazi.

A gospodarz sąsiadujący łąką z polem i uwrociem Burków nazywany był przez dzieci Wijo, bo zamiast „wio”, jak się należy na konie wołać, on „wiiijo” wołał.

– Mamo, Wijo przyjechał! – wołały.

Mama w strachu, bo łąki Burków były skoszone, siano już zgrabiano wieczorami w kupki, a tu Wijo przyjechał. On zazwyczaj przywoził ze sobą deszcz.

– Och jej, jak Wijo przyjechał, to już znów nam siano zgnije – mówiła mama zatroskana. Takie pokutowało przekonanie, że wraz z nim deszczowe dni nastają. I rzeczywiście, już pod wieczór, po upalnym dniu zebrało się na burzę, i jak zagrzmiało i lunęło ulewą,

to większość kupek siana w wodzie stała. Ale to nie mogło być przecież regułą. Po letniej burzy świat szybko wysycha.

Gdy jednak deszcze padały kilka dni, rzeka wzbierała i często zalewała jego skoszone już łąki, łąki Burków, i sąsiedzkie też. Kupki siana w wodzie stojące trzeba było wynosić na górkę i tam w małych kopiskach roztrzasać i przegrabiać, ale to siano zazwyczaj było już brzydkie, brązowe i krowy z niesmakiem rozsuwały je zimą po żłobie.

Jednak po deszczu zawsze kiedyś przychodzi słońce. A w czerwcu wraz ze słońcem lato i wakacje!

